



Adam Cebula "Kiełbasa powyborcza"

nimfa bagienna



Foto: Adam Cebula

Adam Cebula i pokłosie jego nagłego przebudzenia w chłodnym pokoju, czyli współcześni politycy w strasznej rzeczywistości opanowanej przez złowrogich Żydów, lewaków i cyklistów.

Kilka razy już chyba opisywałem ciężkie przebudzenie, jakiego już ładnych kilka lat temu doznałem na konwencie fantastyki w Warszawie. Oczywiście że ciężkie przebudzenia na konwentach nie są niczym szczególnym, ale ja byłem tylko po herbacie... Nie, dość tego – położyłem się spać wcześniej, jak na takie imprezy. Było to zdarzenie zupełnie szczególne, a choć przyczyny okazały się banalne, dało mi do myślenia na wiele lat.

Organizatorzy Awangardy zyskali wielu sponsorów i dostałem kwaterę w hotelu takiej klasy, w jakim jeszcze nigdy nie bywałem. Wszystko było super, i jak już powiedziałem z przyjemnością, z powodu że dnia następnego miałem wykład, wałęsałem się do pachnącego świeżością łóżka. Gdzieś po północy coś mnie zaczęło wyrwać ze snu. To był dojmujący KOSMICZNY CHŁÓD. Przez półotwarte ślepią dostrzegłem fragment sceny rodem z filmu „Odyseja Kosmiczna 2001”. Wielki wyświetlacz, a na nim datę 2000 i coś.

Zerwałem się przerażony. Rany boskie, gdzie ja jestem?! Ani chybi na stacji orbitalnej albo coś... Ratunku! Nie, nie wrzasnąłem jak przystoi bohaterom bohaterkiej science fiction, pomyślałem. Tak, stolica, konwent. Jestem w pokoju hotelowym, w którym sprzątaczką, wychodząc, jak stało na owym (wcale nie tak wielkim) wyświetlaczu, ustawiła minimalną temperaturę 16 stopni. No i właśnie klima wykonała postawione zadanie, uzyskała zadane parametry.

Wszelako przedmiotem mojej troski stało się coś innego: uświadomiłem sobie, że źródłem przeżycia była owa data. Człek urodzony w roku 1959 za normalne i tyjące się jego, uznaje lata zaczynające się od owego „19”, a lata oznaczane po roku 2000 to science fiction. Tak po prostu wehikuł czasu wywiózł mnie w świat obcy dla mnie, do którego nie byłem przygotowany. Przyszłość zaskoczyła mnie.

To zaskoczenie obserwuję, na swoje wielkie pocieszenie, ale i niestety ze znaczną dozą strachu, u bardzo wielu innych, i to takich, którzy z natury rzeczy powinni się dobrze znaleźć w naszych czasach. Ci ludzie – zajmujący się już to opisywaniem świata w gazetach i na portalach internetowych, już to wypowiedaniem eksperckich ocen w tiwi, czy ci, ku największej mej trosce,

usiłujący kierować narodem – powinni być jak najbardziej trzeźwo tu i teraz.

Otóż oni, tak samo jak ja, dostrzegają datę na wyświetlaczu. Z krzykiem przerażenia podrywają się i – niestety – zamiast otrzeźwieć, zamiast spokojnie obejrzeć panel sterowania klimy, z wrzaskiem wylatują na korytarz, wzywając pomocy. Czasy po roku 2000 okazują się dla nich za skomplikowane. Ku mojej większej jeszcze zgrozie okazuje się, że nic nie rozumieją także ci, dla których owa data nie powinna być żadnym powodem do stresu, są bowiem młodzi, urodzili się niedawno, żyją z jakimiś mobilnymi maszynkami w ręce, pozostając cały czas on line w Internecie. I, jak zbadali Amerykanie, nie potrafią obsługiwać Worda i Excela.

Szok przyszłości? Chyba zawsze tak było. To znaczy ludziom się zdawało, że dawniej było dobrze. I zrozumiale przynajmniej. A teraz wymagamy powrotu do dawniej. Jakkolwiek... żyłem w czasach, gdy otaczało mnie przeświadczenie, że musimy zdobywać kosmos, zmieniać technologię, budować drogi, mosty, niezwykle, pędzące kilkaset kilometrów na godzinę koleje, ogromne samoloty. W moich czasach chodziło o przyszłość, była na nią koncepcja, wyobrażano sobie ją i planowano.

Uleciało w kosmos. W cholerę gdzieś wywiało zrozumienie tego, co się dzieje, zastąpił go strach przed wszystkimi zmianami. Świat opisujemy pojęciami, schematami, wiedzą z dawnych czasów, gdzieś z okolic XIX wieku. Po raz pierwszy opadła mi szczeka, gdy jako przyczyna polskich klęsk i nieszczęść pojawił się Żyd. Wywiało z myślenia podstawową logikę: takowego w Polsce nie ma. A że nie ma, to trudno, by był przyczyną czegokolwiek.

Nie to mnie zdumiewa, że zamiast szukać realnych powodów kłopotów, jeżeli jakieś kłopoty w ogóle są, ludzie wynajdują wyjaśnienia magiczne. Zauważmy: Żyd działa mniej więcej jak diabeł, nie sposób go zobaczyć, zrozumieć jego działania, bo się ukrywa albo knuje intrygi tak zawile, że najzaciętsi autorzy kryminałów wysiadają; jest kalką dawnych złych dżinów czy trolli, które sikały do mleka. Zdumiało mnie to, że w XXI wieku nie stać nas na diabła odpowiedniego do naszych czasów. Aby się tłumaczyć z własnego niezgulstwa, nieuctwa, lenistwa, trzeba było wyciągnąć z najstarszej szafy schowanej w pawlaczu narodowej skarbnicy wartości truchło tak zeżarte przez mole, że aż trzeba było drutować je karkołomnymi argumentami, żeby się samo ze starości nie rozleciało.

Kiedy na scenie pojawili się masoni, zacząłem kapować cokolwiek: ano, właśnie niektórzy zbudzili się z krzykiem w roku 2010 po latach słodkiego spania. Prawdopodobnie takim okresem hibernacji dla rozumu była komuna. Mniej więcej od 1945 roku mieliśmy załatwioną sprawę światopoglądu: wrogiem była komuna, dobre – wszystko, co narodowe, kościelne i tradycyjne. Mniej więcej ten sposób; chodziło o to, by się czerwony od nas odczepił, a wówczas dopiero będzie można działać.

Być może, Drogi Czytelniku. Myślę, że powodów zjawiska nie zbadamy do końca, nie wyzbędziemy się wątpliwości, ale fakty wyglądają właśnie tak: współczesność zastała mnóstwo ludzi w słodkiej drzemce, śniących o odległych czasach, bardzo często znanych im tylko z opowieści rodziców i dziadków. Coś ich zbudziło i otworzyli oczy. Zobaczyli nieznaną im rzeczywistość, niezrozumiałe zdarzenia, niezrozumiałe wymagania, prawa i obyczaje. No i z braku doświadczeń z zastaną rzeczywistością próbują opisywać to, z czym się zetknęli na jawie, za pomocą swoich snów.

Polityki lepiej nie tykać, lecz właśnie w kontekście owego szoku przyszłości trudno ją wyminąć. Opadła mi po raz kolejny szczeka, gdy okazało się, że tak zwana polska prawica wydobywa z szafy konflikt pomiędzy piłsudczykami a endecją. Dowcip w tym, że historia ostro sprawy zweryfikowała, i doprawdy trzeba byłoby spać nie snem takim, jak po herbacie, by przespać te fakty. Zdawało mi się, że zwyczajnie kwarantanna komuny wykurzyła z głów dano niebyłe i rozleciane w proch konflikty i koncepty.

Cóż... Na inne stać nas nie było; jak Żyda z szafy trzeba było wydobyć stare, dawno nieaktualne

truchło, by był pretekst do bicia chłopców z tamtej wsi. Czymś u licha musimy się różnić! Do tej pory wystarczyły szaliki Śląska Wrocław i Lecha Poznań, aby była wojna w całej Polsce, ale niestety kibole wystąpili razem i potrzebny był jakiś nowy symbol. W głowę zachodzę, czemu nie Piłsudski, i jedyne, co mi do zastanej sytuacji pasuje, to fakt, że Piłsudski nie dzieli Polaków; w zasadzie dla każdego jest mniejszym lub większym bohaterem. Dmowski? Tak, ten może nas podzielić, choćby z racji jego potłuczonych i skompromitowanych pomysłów.

Polska prawica ma chyba nie za bardzo prawicowe poglądy. Prawicą jest deklaratywnie, bo jedynie szermuje pojęciami już to czerwonego, już to lewaka, który jest wrogiem z definicji. A którego nie ma od co najmniej 25 lat. Niestety, analiza podejścia onej prawicy do własności prywatnej burzy jasność bycia po prawicy. Jest ono bowiem takie, że własność jest święta, chyba żeby nam to nie pasowało. Jak się pojawi potrzeba, to znacjonalizujemy, przywalimy podatki, domiary, byleby wyszło na nasze.

Nieprawdą jest, że geneza tego myślenia ma cokolwiek wspólnego z socjalizmem. Raczej socjalizm czerpał z tego samego źródła: z legendy o Janosiku. Z braku lepszych wzorców z narodowej szafy wygrzebuje się te najstarsze truchła, bo tylko one znajdują zrozumienie w głowach umeblowanych narodowymi mitami z czasu I Rzeczypospolitej. Nie ma szans na jakiegokolwiek myślenie o gospodarce. Istnieją worki ze złotem, które bogaci skądś mają (bo bogaci tak mają), więc hurra, niech żyje zabieranie, ewentualnie rozdawanie. Oraz pozory problemów, jak na przykład edukacja seksualna w szkołach. Albowiem o d... Maryny pogadać potrafimy, a na rachunkach się nie rozumiemy, i tego, że rachunki wywiało z nauczania, wolimy nie zauważać.

Niestety, gdy spojrzymy w kierunku tak zwanych poważnych partii politycznych, tych dla wykształciuchów, to nie jest naprawdę lepiej. Ależ prawda, posługują się, gdy chodzi o gospodarkę, nieco mniej stęchłymi wzorcami. Tak gdzieś z pierwszej połowy XIX wieku. Tak zwani liberałowie czy neoliberalowie widzą, że jest produkcja, handel, wielbią rynek, co najważniejsze, rozumieją, skąd się bierze złoto u bogatych, i że nie tylko chodzi o rabunek i rozdawnictwo.

Sęk w tym, że we współczesnym świecie to także nie działa. W wielu przypadkach uruchomienie tak zwanych mechanizmów rynkowych, ukochanych przez wodzów ludu, prowadzi do skutków zupełnie odwrotnych niż chcieliby tak zwani liberałowie. Niejaki JKM, niespodziewany europoseł, gardłuje za - jego zdaniem - prostymi i oczywistymi sposobami na uzdrowienie na przykład szkolnictwa. Wystarczy by szkoły były prywatne. Jak działają wyższe szkoły prywatne, miałem okazję się przekonać wręcz na własnej skórze: one symulują kształcenie. Powinno być tak, że im lepiej kształci szkoła, tym ma więcej uczniów. A jest tak, że im łatwiej w szkole dostać papier, tym ma ona większe dochody: większa liczba kandydatów na magistrów, wyższe czesne. To także rynek, prawda?

O technologii się w politycznych przemówieniach nie mówi, bo... to chyba za trudne. Obawiam się, że tak zwani ekonomiści, tym bardziej ideologowie, nie mają pojęcia nie tylko, jak coś się robi, ale choćby mglistej wiedzy, jakie to może mieć skutki i jakie są możliwości. We współczesnym świecie technologia załatwiła na cacy w wielu przypadkach ten tak zwany wolny rynek. Podawałem przykład, gdy jedna awaria fabryki w Niemczech doprowadziła do zmniejszenia o 80% globalnej produkcji substancji o nazwie bodaj nylon12. Podobnie błąd w produkcji jednego z dostawców układów scalonych zmusił prawie wszystkich producentów dysków twardych do skrócenia ich gwarancji z trzech lat do jednego roku.

Technologia doprowadziła do tego, że jedna fabryka produkuje dla całego świata. Model wolnego rynku zakłada tak zwaną konkurencję doskonałą, nieskończoną liczbę klientów i dostawców, nieskończony rynek w tym sensie, że działanie jednego podmiotu nie wpłynie w znaczący sposób na ceny towarów. Gdzieś w tle jest „oczywiste” założenie, że na zdolności produkcyjne są nałożone silne ograniczenia, przecież, aby produkować dla całego świata, trzeba by zatrudnić - powiedzmy - wszystkich ludzi w kraju! A tu figa. Są ważne produkty i jest technologia, która praktycznie bez

udziału człowieka pozwala zaspokoić popyt na nie przez jedną maszynę.

W liberalnym obrazie świata technologia uczyniła jeszcze większe szkody: oto pojawił się darmowy produkt. Oprogramowanie. Dodajmy dla zmniejszenia zamieszania, tak zwane wolne. Są jakieś „koszty powielania”. Jest zwykle wysiłek związany z wyszukaniem w internecie, dziś już rzadko także koszt nośnika, może koszt prądu. Dowcip w tym, że są one pomijalne dla – nazwijmy to – klienta i zazwyczaj np. nie sposób ich wydzielić. To jest naprawdę za darmo. Ważniejsze jest chyba coś innego: w opisie świata XXI wieku trzeba rozróżnić towar i produkt. Produktem jest artykuł potrzebny, towarem się handluje. Bywa potrzebny, niepotrzebny, albo szkodliwy. Powtórzę: produkt jest potrzebny, towar to niezbyt szczęśliwy skutek uboczny systemu dystrybucji produktów.

Za darmo w liberalnym świecie nikt nie pracuje, tymczasem w realu pracują programiści. To osobna sprawa dlatego, inna też, dlatego to naturalny proces, ale jest to fakt, który – powtórzę – nie mieści się w obrazie świata pasującym gdzieś w najlepszym razie do początku XIX wieku, w którym na dodatek płacimy złotem. Faktycznie mówimy o świecie nigdy nieistniejącym, wyobrażonym sobie na podstawie fragmentarycznych opowieści dziadków.

Zarówno obraz świata i tej „prawdziwej” prawicy, i tej „liberalnej” (czy jak jej tam), ma tę samą cechę: niektórym ludziom niektóre fragmenty pasują do rzeczywistości. Oba te obrazy mają znak rzeczywistości przedstawionej w książkach fantastycznych – mimo że z realiem nie mają nic wspólnego, zwodzą czytelnika tak bardzo, że niektórzy zaczynają się zabezpieczać na wypadek ataku zombi. Inni, powiedzmy szczerze, na skutek ulubionych nam demoralizujących lektur gromadzą zapasy na wypadek jakiegoś armagedonu. Na takiej samej zasadzie reszta ludności, obawiam się prawie w całości, z poważnymi minami dyskutuje o fantasmagoriach podsuwanych nam przez wodzów narodu. Jakkolwiek gdyby czytać ze zrozumieniem, co chwilę wyczytalibyśmy tam „Nadludzkiem wysiłkiem woli, wydostawszy się z tych irytujących opresji, Mike Gilderstern powrócił do Nowego Jorku”.

Jest oczywiste, że lwia część polityków rżnie głupa, serwując swoim wyborcom dużo bardziej uproszczone spojrzenie na świat, niż sami posiadają. Niestety jest wiele okoliczności, np. działalność publicystyczna, które wskazują, że nawet gdy się najbardziej wysilą, to widzą ten świat mniej więcej tak, jak ja owej konwentowej nocy, gdy przez uchyloną ledwie powiekę ujrzałem coś, co wedle stanu mojej świadomości mogło być jedynie strasznym HAL 9000...

Ostatnie zdarzenia ożywiły nieco publicystykę polityczną. „Nieco” jest dobrym słówkiem. Tak zwana prawdziwa prawica pogrąża się w szopie z jeszcze starszymi truchłami narodowych fantasmagorii, sukces postępowi nie służy, druga prawica, szukając przyczyn klęski, niechcący mówi – co jest moim zdaniem najważniejszą sprawą – nic, kurna, z tego nie rozumiemy. Co prawda oni uważają, że nie rozumieją, czemu przegrali, ale dociera do nich ten nastrój z konwentowej nocy: rany boskie, jest wiek XXI!

Gdy się przyjrzeć tak zwanym „elytom” aspirującym do przewodzenia narodowi, to ja przynajmniej dostrzegam jeden ich zasadniczy problem: zszokowanie przyszłością... czyli teraźniejszością. Oni zwyczajnie w rzeczywistości internetu, permanentnej innowacyjności, biotechnologii, czort wie jeszcze co ich tam dodatkowo przeraża (może efekt cieplarniany), nie potrafią się znaleźć. Podstawowy problem wszelkich ideologii zwie się nieaktualność. W najlepszym razie to było, najczęściej wydaje się komuś, że było, bo tak świat wspominali dziadkowie. Operuje się pojęciami, które nie pasują do niczego rzeczywistego, wypatruje problemów, które problemami były kiedyś, i zwalcza zajadle nieistniejące zjawiska. Aplikuje lekarstwa z czasów, gdy porażonych piorunem zakopywano do ziemi.

Aż się prosi, by ktoś wytłumaczył: chłopaki, spokojnie. To żaden Hal 9000, wszystko pod kontrolą

(wiem, wiem, na te słowa ludzie bledną), żaden komputer nam się nie zbuntował! To tylko klima, trzeba wstać z wyra, przekręcić na 22 stopnie Celsjusza plus i walnąć się spać. Tak jest w XXI wieku w hotelach.

Adam Cebula